

SYLWIA PEĆCAK

UKŁĘKNII
PRZEDE
MNA



SYLWIA PEĆCAK

UKŁĘKNIJ
PRZEDE
MNA

SYLWIA PĘCAK

UKŁĘKNIJ PRZED MNĄ

Uklęknij przede mną — Sylwia Pęcak

Copyright © by Sylwia Pęcak, Warszawa 2026 Copyright © by Wydawnictwo vandom Wszystkie prawa zastrzeżone. All rights reserved. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody autorki i wydawnictwa.

Treść i oprawa graficzna zostały stworzone bez użycia AI.

Redakcja: Zuzanna Kłosek / Książkowy Szalik Korekta: Vanessa Moździerz

Skład i łamanie: Tobiasz Małyś (www.grafista.pl) Okładka: Marlena Kamińska

Ilustracje wewnątrz: Sylwia Pęczak

Wydanie I

Druk i oprawa: Abedik

ISBN druk: 978-83-982977-2-1

ISBN e-book: 978-83-982977-3-8

Wydawnictwo vandom

www.wydawnictwo.vandom.pl

www.instagram.com/wydawnictwo_vandom

www.facebook.com/wydawnictwovandom

www.tiktok.com/@wydawnictwo_vandom

Dla Męża.

Pytałeś czy piszę o Tobie.

*Odpowiedź brzmi: **zawsze.***

Prolog

Ile czasu potrzeba, aby całe życie uległo zmianie? Jak wygląda król wleczony przez własną straż przed oblicze królowej, która jeszcze niedawno wcale nie zasiadała na tronie?

Odpowiedziałbym na te pytania z przyjemnością, ale podobno już nie jestem królem. A nawet jeśli jeszcze raptem miesiąc temu nim byłem, to prawie nikt już o tym nie pamięta.

Oprócz nowej królowej, rzecz jasna. Briony.

Mojej wybranki.

Mojej ukochanej.

Mojej zdrajczynie.

R 1 ozd z iał

Targ rybny śmierdzał jeszcze gorzej, niż to *Nieco wcześniej...*
zapamiętałem. Zatęchła rzeka Minor była prawie tak zielona, jak
łuski wyło-

żonych na straganach ryb, za które lepcy od mułu poławiacze żądali
niebotycznych kwot. Kakofonia tworzona przez krzyki handlarzy
mieszała się z wrzaskami targujących się chłopów. Zdecydowanie
wspominałem to lepiej. Nie żebym regularnie bywał pośród tłumu
wieśniaków — oczywiście nie licząc ostatnich tygodni, które spędzi-
łem w slumsach, jaskiniach i pod gołym niebem — ale jednocześnie
odwiedzałem ich wystarczająco często, by na własnej skórze posma-
kować warunków, w których żyli moi poddani.

Ech, moje królestwo.

Chyba powinienem przestać tak o nim myśleć.

Przedzierałem się przez kolejki zrzędliwych chłopów, naciągając
obszerny kaptur starego płaszcza tak głęboko, by zakrywał całą moją
twarz. Był to kolejny, niewielki krok do pozostania nieroz-
poznawalnym. Na szczęście z włosami uporałem się już jakiś czas
wcześniej. Za małą opłatą — choć w moim obecnym położeniu był

8

to nie lada wydatek — przydrożny balwierz ogolił mi głowę niemal do
zera. Źle się zrozumieliśmy, nie do końca tego oczekiwałem, ale
wyszło mi to na dobre. Odrastające włosy w niczym nie przypomi-
nały zadbanych loków, które nosiłem wcześniej. A na tamtą fryzurę
z pewnością nie mógłby sobie pozwolić przeciętny człowiek, a tym
bardziej rzezimieszek.

Bo nim się stałem, prawda?

A skoro tak, to chciałem wtopić się w tłum. Musiałem to robić przynajmniej do czasu, aż wpakuję się w kłopoty na tyle wysokiej rangi, żeby być godnym brutalnego rzucenia pod stopy królowej.

Stąpałem po błocie, a kałuże bryzgały na buty, które ukradłem jakiś czas temu. Nie leżały perfekcyjnie, ale musiałem przyznać, że były najlepszym łupem, jaki do tej pory zdobyłem; wysokie, skórzane, z wytłoczonym gmerkiem porządnego cechu szewców i, co w tamtym momencie szczególnie doceniałem, nieprzepuszczające wilgoci. Poza tym zapewniły mi wstęp do miasta.

No dobrze, nie one, tylko ich wcześniejszy właściciel. Ale może powinienem zacząć od początku?

Rok temu zacząłem żyć.

Możecie mi nie wierzyć, ale gdybym był wieszczem, powiedziałbym, że wcześniej jedynie istniałem, zawieszony w stagnacji. Nigdy nie chciałem zostać królem, a już na pewno nie tak młodo. Jednak wojna nie wybiera i ze sprawiedliwą brutalnością zabrała najpierw mojego ojca, w drugiej kolejności matkę, a potem, w wieku zaledwie dwudziestu czterech wiosen, osadziła mnie na tronie, bym mógł z bólem stwierdzić, że zebrała bogate żniwo także wśród moich poddanych.

Wiedziałem, że wojna to nieodłączny element rządzenia królestwem. Co więcej, wielu poddanych wręcz oczekiwało od władcy, że będzie wzniecać kolejne zatargi. „To umacnia granice”, mawiali.

Prawda, ale również pustoszy skarbiec. Dlatego, gdy tylko poczułem ciężar korony na głowie zażegnałem konflikt, a później... trwałem.

Aż do czasu tego nieszczęsnego polowania.

Klnę się, że nie wyruszyłbym na nie, gdybym zdawał sobie sprawę, jak słaba będzie moja orientacja w terenie. To może niepoważne, gdy jest się władcą, ale przyznaję — zgubiłem się w lesie jak pierwszy lepszy młokos. Kiedy zobaczyłem drewnianą chatę, dym ulatujący z komina i kwiaty obsadzone w grządkach pieczętowiec pielegno-wanego ogrodu, sądziłem, że odnalazłem zbawienie. Skąd mogłem wiedzieć, że tak naprawdę czekała mnie zguba??

Podszedłem wtedy do malowanych drzwi i zapukałem, szukając mieszek monet. Gdyby otworzyła mi stara babuszka, pewnie ucałowałyby moje stopy, a ja skromnie zapytałbym o drogę i złotem uhonorował ją za pomoc. Możecie to także nazwać przekupstwem za milczenie, w końcu jaki władca chciałby, żeby całe królestwo wiedziało, że jest zagubiony, ilekroć tylko obróci się wokół siebie w lesie?

Jakże głupi byłem, że nie uciekłem w chwili, gdy otworzyła mi najpiękniejsza istota na tej ziemi...

Nie byłem wtedy mężczyzną przywiązującym uwagę do szczegółów, ale każda scena z nią wpisała się w moją pamięć niczym atrament w skórę.

Gdy stałem w progu niepozornej chaty, uderzył mnie zapach gotowanej owsianki. Choć w zamku czekały na mnie większe rarytasy, nagle strasznie zgłodniałem.

A ona... W kaskadach ognistych rudych, nieprzyzwoicie rozpuszczonych włosów, w białej lnianej sukni, której rękawy podwinęła wysoko nad łokcie, z talią podkreśloną zielonym, roboczym gorsetem, wyglądała, jakby przybyła z innego świata.

Uśmiechnęła się wtedy błogo i błysnęła oczami koloru lodu.



— Wasza Najjaśniejsza Wysokość. — Skłoniła się nienagannie, jakby od lat ktoś wykladał przed nią lekcje etykiety. Z pewnością rozpoznała moją twarz z wizerunków monetarnych, które obiegały całe królestwo. — W czym mogę służyć?

Miałem wrażenie, że jej głęboki głos utkwiał mi w kościach. Zamiast zapytać o drogę, odwrócić się na pięcie i o wszystkim zapomnieć, zdobyłem się na zupełnie inną prośbę, jednocześnie przesuając wzrokiem po jej sylwetce.

— Zdradź mi swoje imię.

— Briony — odparła po prostu.

I właśnie wtedy zacząłem żyć.

Wtedy też przepadłem.

Ledwie rok później, zamiast pławić się w należnych mi atlasach, śmierdziałem rybą i brnąłem na spotkanie z najbardziej poszukiwanym przestępcą w stolicy. Nigdy nie przypuszczałem, jak nisko będę zmuszony upaść, by zasłużyć na rozmowę z Modliszką. Cóż, ktoś, kto sam sobie nadał przezwisko po krwiożerczym owadzie, z pewnością był o wiele bardziej pewny siebie niż groźny. Doświadczenie nauczyło mnie jednak, że przerośnięty animusz bywał równie niebezpieczną bronią, co udawana skromność.

Skręciłem w alejkę tak wąską, że rozkładając ramiona, mogłem dotknąć naprędce lepionych ścian szachulcowych domów. Większość z nich była zamieszкана, a w okolicach progów tłoczyli się domownicy. Tłum przersedzał się w miarę jak zmierzałem do dzielnicy wypełnionej przybytkami rozpusty. To nie ja wybrałem miejsce spotkania. Zostało we mnie na tyle godności, że zrobiłbym to lepiej. Przełknąłem jednak niesmak, zbliżając się do wskazanego domu. W środku czekała mnie rozmowa, po której, jak miałem nadzieję, wiele się zmieni. Przekrzywiony szyld z napisem „Pusta ostryga” zaskrzypiał, gdy pchnąłem drzwi i wszedłem do środka.

Naciągnąłem kaptur jeszcze mocniej, choć tak naprawdę nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Zresztą po tym, co się stało, i tak nie zobaczyliby we mnie króla — i nie chodziło jedynie o wygląd.

Po prostu zapomnieli, że kiedykolwiek istniałem.

Ale wciąż byłem poszukiwany za... przynajmniej kilka rozbojów, jeszcze więcej kradzieży i parę bójek, w które wdawałem się regularnie raz na kilka dni. Naprawdę wiele się napracowałem, by móc stanąć przed Modliszką.

— Szynekwas pełny? — zagadnąłem, opierając się o drewnianą ladę. Lepiła się od dawno wylanego piwa, ale nie zważałem na to.

Burdelmama omiotła mnie wzrokiem i wróciła do wycierania ceramicznego kufła. W miejscach takich jak to klient był ważny jedynie wtedy, gdy sypał groszem.

— Zamawiasz, korzystasz czy wychodzisz? — odpowiedziała mi starym ealmerskim powiedzeniem, którym często witano klientów zamtuzów. Głos miała rzęzący i dziwiłem się, że odpowiedź nie wzbudziła u niej salwy kaszlu.

Pochyliłem się w jej stronę.

— Jestem umówiony.

— Umówić to ty się dopiero możesz. Ale tylko na jedną noc. Moje dziewczyny na dłużej nie biorą — wycharczała.

Powstrzymałem chęć przewrócenia oczami i grymas zniesmaczenia.

— Jestem umówiony na rozmowę — zniżyłem głos. — W sprawach *przyływu*.

Wreszcie naprawdę zwróciła na mnie uwagę. Sprawnie rozejrzała się dookoła. Wyglądała przy tym, jak młoda dziewczyna, w którą nagle wstąpiły nowe siły.

— Schodami na samą górę, ostatni pokój w lewym skrzydle — powiedziała szybko. — Ale jeśli zmienią cię w krwawą papkę, sam

13

będziesz musiał wywlec stamtąd swoje truchło. Moi ludzie nie brudzą sobie rąk, rozumiano?

Przytaknąłem i zacząłem wspinać się na ostatnie piętro. Te całe „sprawy przyływu” były podobno hasłem. Nie kwestionowałem bezsensu tych słów, o ile zadziałały.

Schody zaskrzypiały pod moimi stopami i mógłbym przysiąc, że wydały identyczny dźwięk jak łóżko w chacie Briony. Tak niewiele wystarczyło, by rumieniec wstydu i zażenowania wykwitł mi na policzkach. Pamiętałem to wszystko bardzo dokładnie.

Tamtego dnia, gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy, ugościła mnie parującą owsianką i kubkiem imbirowej herbaty. Jeśli mu-sicie wiedzieć, byłem nią zafascynowany i naprawdę naiwny. Nie przeszkadzało mi, nawet gdy złote obręcze zawieszone na jej uszach zabrzęczały, zdradzając, kim się urodziła. Noszenie takich ozdób było wśród ludzi surowo karane, a ja nie zamierzałem zmieniać tego prawa, chociaż od dawna nie mieliśmy problemów z innymi rasami.

— Złoto? — zapytałem wtedy, całkowicie zaślepiony jej urodą.

— Czy mam je ściągnąć lub ukryć, Wasza Najjaśniejsza Wyso-kość? — Nie bała się, choć powinna, biorąc pod uwagę, jak moi poprzednicy traktowali istoty jej rodzaju.

Nie zamierzałem się tym przejmować. Prześladowania dawno ustały, a ja nie chciałem zachowywać się jak uprzedzony prostak.

Zupełnie mnie nie martwiło, kim była Briony, dopóki znajdowała się obok. Nie miało żadnego znaczenia, że obcowałem z wiedźmą.

A ja, głupi, ceniłem ją za szczerość. Wydawała się jak otwarta księga, gotowa, by ktoś odkrył jej tajemnice.

Może właśnie dlatego odwiedzałem ją przy okazji każdego polowania, gdy tylko towarzysze i służba tracili mnie z oczu. A kiedy te eskapady przestały mi wystarczać, stałem się królem gotowym umykać własnym strażom tylko po to, by raz za razem lądować w leśnej chacie Briony.

14

Przysięgam, że nie żałowałem niczego nawet przez jedno uderzenie serca.

Czego nie mogłem powiedzieć, klucząc ciemnym korytarzem i skrupulatnie omijając pijanych klientów Pustej Ostrygi, ciągniętych przez kurtyzany w ustronne miejsca. Modliłem się, żeby trafić do dobrego pokoju i nie przyłapać zupełnie przypadkowych ludzi na robieniu czegoś, co na stałe dołączyłoby do wachlarza moich koszmarów.

W końcu pchnąłem ostatnie drzwi w lewym skrzydle, a te ustąpiły z cichym skrzypnięciem.

— Wchodzić, wchodzić! Nie mamy całego dnia! — zachęcił rehot dobiegający z ponurej izby.

Przywitała mnie podgniła podłoga, która aż ugiwała się pod moimi butami, i okna szczelnie zasłonięte ciężkim sukniem. W kącie tkwiło wysiedziane łóżko, jeden Szakłak wie, do czego używane. Pośrodku, przy drewnianym stole, tkwił mężczyzna. Był tak ogromny, że od razu dostał w mojej głowie miejsce na podium wśród największych osób, jakie kiedykolwiek spotkałem. Niemal nie zauważyłem dwóch stojących przy nim oprychów.

— Modliszka — przywitałem się krótko, głos zabarwiając jedynie nutką podziwu. Ludzie jego pokroju uwielbiali tę namiastkę władzy, jaką dawały chępliwe słowa i lękliwe spojrzenia. Miałem z takimi do czynienia wszędzie. Nie tylko w śmierdzących pleśnią zaułkach miasta, ale nawet za bezpiecznymi murami zamku.

— Zgadza się, a ciebie jak zwa?

No i się zaczęło...

— Rozephinus — odparłem bez cienia kłamstwa. Nikt nie pamiętał mnie jako króla, więc przynajmniej mogłem zachować prawdziwe imię.

To żdźbło prawdy zwykle jednak niewiele pomagało.

— Jak? — zadrwił.

15

Westchnąłem.

— Rozephinus.

— Niech mnie baby w mordę leją, jak dworsko!

Ściągnąłem kaptur i zająłem się rozpinaniem płaszcza, chcąc zamaskować tym ruchem własną irytację. Ten sam schemat powtarzał się z każdym nowo spotkanym człowiekiem.

— Dla mnie będziesz Rozz. — Modliszka machnął ręką, po czym wplótł palce między guziki koszuli i oparł dłoń na brzuchu.

— Nadając mi taką ksywkę, nie odbiegiesz znacząco od większości. — Zadarłem głowę. Zazwyczaj moje zgolone, z wolna i nierówno odrastające włosy robiły wrażenie. W jakiś sposób, w połączeniu z wyrazistymi rysami twarzy, które odziedziczyłem po ojcu i brudem,

który nie schodził z mojego ciała od miesiąca, wyglądałem z nimi znacznie groźniej.

— A co myślałeś, że jak matka takim imieniem cię ochrzciła, to już każdy będzie musiał spamiętać? Dla mnie będziesz Rozz albo cię nie biorę.

Zerknąłem przelotnie na dwójkę prostaków. Okuci byli w zbyt ciasne skóry pozszywane rzemykami, które wyglądały jakby lada chwila miały pęknąć.

— Spokojnie, spokojnie. Może być Rozz. — Uniosłem pokojowo dłoń i ostrożnie zająłem krzesło naprzeciw Modliszki. Zaszurało o podłogę. — Zakładam, że wiesz o moim układzie z Rogerem.

— Inaczej byśmy nie rozmawiali, chłopcze. — Spoważniał, a ja poszedłem w jego ślady.

Układ z Rogerem wiele mnie kosztował, choć był prosty. W sąsiednim mieście załatwiałem dla niego kilka spraw, które koncentrowały się na brutalnym rozliczaniu długów w zamian za spotkanie z Modliszką. Straciłem przez to kolejnych kilka dni, a miałem już dość marnowania czasu.

16

— Więc wiesz też, że szukam zajęcia. Zima idzie, trzeba mi miejsca, żeby się zaciągnąć. Jestem skuteczny, a o tobie słyszałem jeszcze więcej rewelacji.

Widziałem, jak urósł na ten komplement. Dobrze. To musiało się udać.

— Hmm... A potrafisz młócić pięściami?

Czułem, jak obslizgły wzrok Modliszki wędrował po moich bicepsach.

— Potrafię.

— A robić mieczem?

— Też.

Zastanowił się. Niespiesznie wodził po mnie wzrokiem, a im dłużej to robił, tym gorzej czułem się pod naporem jego spojrzenia. Ważyły się moje losy. Modliszka decydował, czy jestem wart chociaż miedziaka i krzywił się przy tym, jakbym był jeszcze jednym lepkiem od mułu poławiaczem z targu.

— Wyglądasz na wprawnego, wezmę cię. — Niemal odetchnąłem z ulgą. — No, chłopcy pokażą ci zakwaterowanie. Idź lepiej obmyć się w balii, bo śmierdzisz jak zjełczałe rybsko!

Nie ruszyłem z miejsca.

— A akcja? Jestem wdzięczny za gościnę, ale pisałem się na robotę, a nie na łaźnię. — Próbowałem brzmieć jak pewny siebie zawodowiec. Byłem tak blisko, że aż drżałem wewnątrz, a chęć zemsty jarzyła się we mnie niczym płomień pośród nocy.

Modliszka uniósł palec, jakby chciał mi pogrozić.

— Chłopcze, u nas zasady są takie: zaciągasz się i robisz, co ci każe, przynajmniej przez tydzień.

— Tydzień? — Prawie jęknąłem.

— A co? Tak ci spieszno do wiktu? Już ja znam takich jak ty. Narobiłeś pewno długów w sąsiednim królestwie i szukasz w Ealmere

jałówki, która da ci opierunek za nic! — Wykonał w moim kierunku gest, za który miesiąc temu zostałby powieszony. — Ha, takiego! Jeszcze raz, Rozz: idziesz i robisz, co ci rozkażę, przez tydzień. Po-

tem będzie akcja, a na końcu należy ci wikt. Ty mnie nie oszukasz, to ja nie oszukam ciebie. A jeśli ci nie pasuje, lepiej zejść mi z oczu.

Wstałem. Dałem sobie chwilę na kilka potrzebnych oddechów, przeliczając, ile alternatyw mi pozostało. Z moich kalkulacji wyszło, że...

Że Modliszka był moją ostatnią opcją.

— To gdzie jest to zakwaterowanie? — zapytałem.

— No, mądry chłopak! — Zbir rozłożył ramiona. — Nie pożałujesz, Rozz, nie pożałujesz!

Rozdział 2

Przeszedłem pół miasta prowadzony przez milczących oprychów, ale byłem im wdzięczny za ciszę. Wątpiłem w ich zasób tematów do elokwentnej rozmowy, skoro w specjalizacji mieli

„młócenie pięściami” i „robienie mieczem”.

Tak czy inaczej, zaprowadzili mnie do krzywej kamienicy, a potem na poddasze, gdzie czekała twarda prycza, pled i krzesło. Nie zamierzałem wybrzydzać. Wiecie, to zaskakujące, jak niewiele oczekuje człowiek, któremu przyszło spędzić noc w oborniku.

— Veta przyniesie ci balię. Przyjdziemy rano — oznajmił jeden z bandziorów i tyle ich widziałem.

Veta okazała się służką, właścicielką, a może gospodynią kamienicy, i chyba w młodości ucięli jej język, bo nie odpowiadała na żadne z moich pytań. Wturlała za to na poddasze niewielką beczkę, wlała do środka kilka wiader parującej wody i zostawiła pęknięty garnek, który najwidoczniej miał mi pomóc w kąpieli. Nie spojrzała w moim kierunku nawet jeden raz. Kątem oka oceniłem ją na kobietę w średnim wieku.

Bez wahania zrzuciłem ciężkie od brudu ubrania, tylko po to, by przez dłuższą chwilę głowić się, jakim to sposobem miałem zmieścić

się do stojącej przede mną beczki. Ostatecznie wyszorowałem się szybko, kucając w balii. Cienki jak plaster sera kawałek mydła, który znalazłem w garnku, rozpuścił się zdecydowanie szybciej, niż

nakazywała przyzwoitość, ale warunki wciąż były lepsze, niż gdybym zażywał kąpieli w Minorze.

Gdy wyszedłem z beczki woda była wręcz czarna, ale i tak wpakowałem do niej jedyne ubranie jakim dysponowałem. Przeparałem je, czyszcząc z błota i resztek, których pochodzenia nie chciałem pamiętać.

Przejrzałem się w metalowym garnku. Zakrzywił odbicie, ale bez wątplenia wyglądałem lepiej niż wcześniej. Przynajmniej znowu widziałem kolor lekko ogorzałej skóry, od miesiąca wystawianej na słońce i wiatr.

Potem otworzyłem jedyne w izbie okno, dźwignąłem beczkę i z zamachem chlusnąłem smolistą wodą wprost do rynsztoka na środku ulicy.

— Ty łachmyto! Świszczypało! Jucho jedna! — Chyba w kogoś trafiłem, ale zamiast wysłuchiwać obelg, zatrzasałem okiennice i rzuciłem się na wąskie posłanie.

Stęknąłem, gdy mój kręgosłup zagrzechotał przy spotkaniu z drewnem. Byłem już tak blisko zrealizowania swego planu, że postanowiłem nie przejmować kilkoma niedogodnościami mojego zakwaterowania.

Znosiłem gorsze niewygody w drodze do Ealmere.

Żadna z nich nie była jednak tak uporczywa, jak żyjące we mnie jaskrawe wspomnienia. Stale próbowałem się ich pozbyć, ale one nie ustępowały. Może to dobrze? Za każdym razem, gdy czułem, że wspomnienia rozrywają mi serce, chęć zemsty napędzała mnie niczym dostawa orzeźwiającego wina.

Potrzebowałem tej niepowstrzymanej siły, szczególnie kiedy myślałem o Briony.

W pewnym momencie tak często do niej przyjeżdżałem, że moja klacz sama potrafiła odnaleźć drogę między koślawymi drzewami lasu. Byłem urzeczony kontrastem, jaki zachodził między moich dworem, pełnym zasad i etykiety, a oderwaną od rzeczywistości chatą Briony. Dobrze się bawiliśmy i początkowo naprawdę sądziłem, że chodzi tylko o rozrywkę. Trudno określić, kiedy zrozumiałem, że na stałe zajęła miejsce w moim sercu, choć kiedy wracałem do wspomnień, potrafiłem wskazać moment, który o tym przesądził.

Leżeliśmy wtedy pod gołym niebem, a nasze ciała jeszcze parowały od zażytej kąpieli. I, mimo całej nienawiści, jaką później zacząłem do niej żywić, za jedno należy jej się uznanie — Briony posiadała balię z prawdziwego zdarzenia.

— Naprawdę musisz jechać? — zapytała z łamiącą się nutą w głosie. Jej ogniste włosy układały się falami na krągłym ciele, gdy obracała się w moją stronę. Muskał nas chłodny wiatr.

— Naprawdę — odparłem.

— Rozephinusie... — zaczęła. Nigdy nie miała problemu z zapamiętaniem mojego pełnego imienia. — Propozycja, którą ci złożyłam, pozostaje w mocy, a łóżko w chacie bez problemu mieści nas oboje.

— Moja oferta również nie uległa zmianie. — Bawiłem się kosmykiem jej włosów. — Gdybyś ją przyjęła, może już nigdy nie musielibyśmy spotykać się w ukryciu.

Zasugerowałem to niepewnie, nieledwie spłoszony. Kobieta wstała oburzona, a ja przez dziesiątki późniejszych nocy miałem się zastanawiać, czy wtedy udawała.

— Żebyś odgrywała rolę kogoś, kim nie jestem?

— Briony, uwielbiam to, kim jesteś. Jak mógłbym cię za to potępić? Właśnie zagrzałaś nam kąpiel jednym pstryknięciem palca! Ale dwór nie byłby tak wyrozumiały. Nie przyjmą...

— Wiedźmy. — Wstała i sięgnęła po porzuconą na trawie suknię. I ja zacząłem się ubierać.

21

— Ściągniesz kolczyki, upleciesz misternie włosy, a ich kolor ukryjemy pod czepcem. — Mówiąc, sznurowałem koszulę i wciągałem wyszywane pludry. — Powstrzymasz się przed używaniem magii. Zresztą, na dworze i tak nie będziesz miała swoich ziół.

Stała odwrócona do mnie plecami, ramiona zaplotła na piersiach. Podszedłem bliżej. Odgarnąłem jej długie włosy na jedną stronę i przerzuciłem przez ramię, a na odkrytym skrawku skóry, tuż przy zagłębieniu obojczyka, złożyłem czuły pocałunek.

— Jeden bal, Briony. Jeden bal — wyszeptałem, muskając ustami jej szyję.

Pamiętam, jak drżała, gdy wypowiadałem te słowa. I już nic nie było bardziej prawdziwe, niż cichy głos, który nastąpił później.

— Zgoda. Jeden.

Jakże ja byłem głupi, jakże ślepy, jak bardzo...

Zakochany.

Ale przecież nawet wtedy nie byłem krótkowzroczny. Mogła mnie oszukiwać na wiele sposobów, mamić i sprawiać, by rany jątrzyły się jeszcze przez długi czas, ale nie wierzyłem, że potrafiła oszukać własne serce.

Cokolwiek się między nami narodziło, ona też to wtedy czuła.

Obudziłem się obolały i z pełnym przekonaniem, że ta jedna noc dodała mi z dziesięć lat życia. To nie tak, że byłem wypachnionym królem, wymuskanym chłopcem. To nie jest jedna z tych historii, w których zdradzony władca umiera w ściekach, nie umiając so-bie poradzić nigdzie indziej poza bezpiecznymi murami zamku. A jednak dźwigając się z pryczy, wyrwany ze snu przez sypiące drzazgami walenie w drzwi, tęskniłem za miękkimi poduszkami z królewskich komnat.

— Idę! — ryknąłem, tracąc cierpliwość.

Złapałem za Inianą koszulę, która po praniu odzyskała nieco koloru, nadal w niczym nie przypominającego bieli. Nie miałem czasu jej

22

sznurować, pozwoliłem połom opaść swobodnie i skacząc na jednej nodze w stronę drzwi, wciągnąłem spodnie. Podziwiałem robotę stolarza. Niejedne odrzwia już wypadłyby z futryny po tak bogatej salwie uderzeń, jaką zgotował im mój — wszystko wskazywało na to, że będzie nim przynajmniej przez następny tydzień — nowy znajomy.

Kiedy szarpnąłem za klamkę, stał tam, ledwo mieszcząc się w przestrzeni małego korytarza. Modliszka nadal miał u mnie miejsce na podium wśród ogromnych mężczyzn, ale ten człowiek imponował nie tylko rozmiarem, ale i tężyzną.

— Robota czeka — bąknął.

— No pewnie. Mistrz wzywa, sługa musi. — Stałem w progu i otaksowałem przybysza wzrokiem. — Chyba wczoraj nie zdążyłem się przedstawić. Jestem...

— Księciunio — przerwał mi. Wytrzeszczyłem oczy.

— Rozephinus — poprawiłem.

— A sam siebie to nazywaj, jak chcesz. — Machnął na mnie ręką. — Chodź już lepiej, szef nie lubi zwłoki.

— To chociaż mów na mnie „Rozz”! — rzuciłem błagalnie i wycofałem się do izby. Niechlujnie zasznurowałem koszulę, zarzuciłem nieco grubszy kaftan i skórzany płaszcz z kapturem. Na końcu wciągnąłem kradzione buty o wysokiej cholewie. Mój strój nie był szczytem mody, a przepranej skórze musiałem dać czas, by na powrót rozciągnęła się do gabarytów mojego ciała, ale mogłem ruszać.

W ostatniej chwili zgarnąłem z drewnianego krzesła płócienną sakwę, którą przewiesiłem przez ramię i wyszedłem za próg. Zniecierpliwienie mojego towarzysza wisiało w powietrzu.

— A jak wołają na ciebie? — zagadnąłem.

— Nie twój interes, księciuniu.

Zapowiadał się wspaniały dzień.

Podążałem za nim tak długo, klucząc wśród ciasnych uliczek Ealmere, że niemal zapamiętałem układ zmarszczonej skóry na jego

23

karku. Mój „kolega” był rośły i mówiąc to, mam na myśli: naprawdę rośły. Wyższy ode mnie, choć nie należałem do krasnali. Dobrze zbudowany, ale nie tak jak ja; moje mięśnie wyćwiczyła dworska szermierka i presja utrzymania nieskazitelnej sylwetki. Jego postura została ukształtowana przez lata bójek i życia na ulicach miasta. Oj, byłem pewien, że te mięśnie niejedno widziały.

Wyszliśmy na niewielki placzyk z figurą króla założyciela na śród-ku. Kamień był zniszczony i chyba już nikt nie zawracał sobie głowy tym, co wyryto na tabliczce przymocowanej do cokołu.

Donell. Nazwisko mojego rodu.

Odwróciłem wzrok i zrównałem się z człowiekiem Modliszki.

— Dobra, puścisz w końcu parę z ust? Byłoby łatwiej, gdybym wiedział, dokąd idziemy. To mój pierwszy dzień w nowej pracy, jasne? — Omijaliśmy pędzących zwykle życie ludzi, kroczących z naręczami dóbr na sprzedaż lub tych świeżo kupionych. Byliśmy w lepszej dzielnicy miasta, gdzie bieda nie wyglądała spod strzechy i nie łypała złowrogo na każdego przechodnia.

— Idziemy do dziupli. — Po tej skąpej odpowiedzi wnioskowałem, że będę zmuszony ciągnąć mojego towarzysza za język.

— A co jest w dziupli?

— Narzędzia.

Ta zdawkowość doprowadzała mnie do szału, jeszcze bardziej niż wcześniejsze milczenie, ale wyparowała, gdy dotarliśmy na miejsce. Dziupla okazała się niczym innym jak zbrojownią, ukrytą w niepozornej kuźni kowala, z którym mój oprych porozumiewał się nieznany mi szyfrem. Jak wiele można było się dowiedzieć, będąc zapomnianym królem! Na przykład, że twoi poddani są w stanie wybudować dodatkową ścianę, tym samym ograniczając miejsce pracy biednego kowala — pewnie nie miał wyboru — i bardzo kunsztownie ukrywając wejście do schowka, w którym przechowują imponujący oręż.

24

Pomieszczenie było wąskie, miało może dwa metry szerokości, ale i tak wcale nie musiałem udawać zachwyty na widok wszystkich ostrzy zawieszonych na ścianach. W zamku miałem prywatną zbrojownię, daną mi zwyczajnie ze względu na to, kim byłem. Nie musiałem trudzić się, by zdobyć legendarny miecz rodziny królewskiej czy mistrzowskiej jakości kuszę. Jednak kiedy z oprychem Modliszki wchodziłem do dziupli, wiedziałem już, jak trudno o dobry oręż w prawdziwym życiu.

— Każdy nowy robi taką minę — rzucił w moim kierunku.

— I każdemu nowemu pokazujecie to miejsce? Nie boicie się, że na przykład... zabierze co tylko zechce i ucieknie? — zapytałem, przeciągając dłonią po klingach na jednej ze ścian.

— Taaa, pokazujemy, żeby każdy nowy zrozumiał, czym zostanie zaszlachtowany, *jeśli spróbuje* uciec.

Zamilkłem. Wpakowałem się w jeszcze gorszą kabałę niż początkowo sądziłem.

Tylko tydzień, powtarzałem sobie.

— Przestań się gapić jak krowa na łyse ciele, księciuniu, i wybierz coś. Nasz herszt kazał cię uzbroić, jeśli zechcesz zostać.

Przełknąłem ślinę. No tak, dosadnie zrozumiałem, co by się stało, gdybym w tamtym momencie postanowił się wycofać. Nie było odwrotu. Ale przynajmniej mogłem wybrać broń i postanowiłem zrobić to najlepiej, jak umiałem.

Po chwili prowadzenia wewnętrznej dyskusji nad jakością stali przede mną, zdecydowałem się na podwójne krótkie ostrza, które przytroczyłem do obu nóg. Skórzane pochwy świetnie leżały, a płaszcz maskował przywdzianą broń. Na torsie zapiąłem pas z wszystkimi pokrowcami na noże. Wyposażyłem go w aż trzy klingi różnej długości i przekręciłem tak, że znalazły się na plecach, ukryte przed wścibskimi oczami strażników, którzy włączyli się po ulicach miasta. Już miałem dać spokój, ale kolega mnie nie

poganiał, więc wcisnąłem jeszcze po jednym sztylecie okutym w skórę do każdej cholewy moich zbyt dużych butów. Wreszcie zaczęły leżeć idealnie.

Obróciłem się do towarzysza nieco pewniejszy siebie.

— Widziałem, gdzie włożyłeś noże. Dobry wybór, będą łatwo dostępne. — Pochwalił mnie, ale zabrzmiało to jak groźba.

Wychodząc z kuźni, skinąłem kowalowi uprzejmie. Nie rozmyślałem zbyt wiele o tym, czy ktoś przypomni sobie o moich występkach, kiedy już odzyskam tron. Gra była warta kilku świeczek i paru poświęceń, i mój lud na pewno by to zrozumiał, ale jednak wolałem zachować ostrożność. Choć stałem się rzezimieszkiem, to nadal z krztyną kultury.

— To teraz koń — mruknął oprych.

— Wyjeżdżamy poza miasto?

— Słuchaj, nie odzywałem się wcześniej, bo nie wiedziałem, czy zostaniesz. Są tacy, co mimo ostrzeżeń próbują ucieczki, a wtedy muszę urznąć im łeb, rozumiesz? Nie chciałem się z tobą za bardzo... wiązać. No, ale teraz pracujemy razem.

Słuchałem tego oniemiały. Ten człowiek — wyjęty spod prawa, obracający się wśród największych szumowin królestwa — nie chciał mieć emocjonalnych trudności z pozbyciem się mnie?

Westchnąłem, a on kontynuował w miarę naszego marszu.

— Zaraz za miastem mamy stajnię, reszta już na nas czeka. To twoja próba, łapiesz?

— Jasne, łapię. Co mam robić?

— Jakiś rządca fermy na rozdrożach próbował wykiwać mistrza gildii kupieckiej. Folke od lat handluje wełną, a teraz dostał mu się trefny towar.

Tak, pamiętałem Folkego. Szykował materiał na mój kaftan inauguracyjny, gdy wstępowałem na tron. Miał fach w ręku, znajomości sięgające poza granice królestwa i lata doświadczenia. Nie

26

spodziewałem się, że po sprawiedliwość szedł do Modliszki zamiast do straży miejskiej.

— Wściekł się i posłał do szefa — ciągnął mój przewodnik. — Wełna przyszła skluszczona, a robactwo wiło się w niej podobno tak bardzo, że córka Folkego zemdląła, odbierając towar. Stracił kupę złota i poważanie tam, na górze. — Kiwnął głową w stronę wzgórza zamkowego.

Nie dałem po sobie poznać, jak bardzo poruszyło mnie wspomnienie o dworze.

— Pracuje dla rodziny królewskiej? — zapytałem jakby nigdy nic.

— Ano, nie od dzisiaj. Dorobił się na tym, a teraz wytraca majątek. Ponoć wełna miała iść na podbitkę zimowego okrycia królowej, bo wyroby Folkego zawsze były najwyższej jakości. Ciekawe, co teraz ogrzeje w zimie tę naszą władczynię! — Zarechotał.

Ugryzłem się w język, żeby przypadkiem nie wypuścić z ust jakiejś docinki. Kątem oka widziałem już bramę i most prowadzący poza granice Ealmere. Wyciągnąłem z sakwy pomięty glejt, który musiał mieć każdy szanujący się obywatel miasta. Chyba tysięczny już raz podziękowałem w duchu byłemu właścicielowi moich butów. Bez niego nie miałbym tego świstka.

Pokazaliśmy papiery strażnikom, którzy machinalnie przepuścili nas na drugą stronę. Obiecałem sobie, że jak już wrócę do władzy, rozkażę wzmocnić przeszukania.

Wybrukowane ulice zmieniły się w klepiska, a szachulcowe kamienice w podmiejskie, wapnowane domostwa. Z tego miejsca widziałem już stajnię.

— Czyli jedziemy odebrać dobry towar, tak? — chciałem się upewnić.

— Od tego to Folke ma swoich ludzi. My jedziemy znaleźć rządcę fermy, niejakiego Welkego i wytłumaczyć mu, co narobił. I to jest twój test, chcemy zobaczyć, jak radzisz sobie w akcji.

27

Poprawiłem sakwę i pas z nożami. Cóż, muszę przyznać z małym skrępowaniem, że robiłem już takie rzeczy. Prosta robota. Jedyna finezja polegała na tym, by dać komuś w skórę wystarczająco i jednocześnie nie zbyt mocno. Należało dobrze wyczuć moment, by powściągnąć emocje i przestać. Wtedy delikwent zaczynał rozumieć, czasem wyrażał skruchę, a może był nawet wdzięczny za darowanie życia. Niech mnie, ale kilka razy dano mi za to miedziaka czy dwa.

Przystanęliśmy przed stajnią.

— To jak na ciebie wołają? — zapytałem po raz kolejny.

Towarzysz uniósł głowę i zmrużył oczy, jakby mnie oceniał. Wiedział już, że w najbliższej przyszłości nie będzie musiał uciąć mi głowy, tak więc zaczerpnął tchu.

— Maldus — oznajmił.

Zanotowałem to w pamięci.

Na miejscu faktycznie czekało na nas kilku mężczyzn. Nie miałem czasu się przywitać. Skinęliśmy sobie głowami i od razu wyznaczono mi konia, śniadą klacz, której nieco brakowało wyczesania, i ruszyliśmy.

Przez całą drogę myślałem tylko o tym, jak szybko powrócimy,
żebym znowu mógł znaleźć się w murach miasta.

Bliżej Briony.

Rozdział 3

Czy to wstyd stwierdzić, że jedna kobieta stała się moją obsesją? Jeśli tak, to trudno, przynajmniej będę z wami szczery, bo muszę to przyznać.

Nie potrafiłem o niej zapomnieć. Do reszty zawładnęła moim sercem, dlatego postanowiłem zamówić dla niej wyjątkowy prezent — suknię na ten pierwszy bal. Swoją drogą, wełna Folkego przydała się również przy tamtej okazji, choć z samym mistrzem nie miałem do czynienia. W wolnych chwilach przesiadywałem za to u królewskiej krawcowej, którą wcześniej zmusiłem, by złożyła najszczerzą przysięgę dyskrecji, jaką była w stanie z siebie wydusić. Sam zdjąłem wymiary z Briony i pamiętam, jak się rumieniłem, podając Elizie pergamin z wypisanymi wskazówkami. Od lat służyła mojej rodzinie i nikt nie potrafił wyczarować z bali materiału takich cudów, jak ona.

— Wasza Najjaśniejsza Wysokość, to będzie... — Wyglądała na skrepowaną.

— Suknia — wtrąciłem. — Suknia na prezent, dlatego potrzebuję, byś uszyła ją w tajemnicy.

Pokiwała głową, z zadumą wpatrując się w wymiary. Jej szwalnia mieściła się prawie u wylotu wzgórza zamkowego, nieopodal głównej bramy, ale dostęp do niej mieli ludzie tylko z wnętrza muru obronnego. Tylko królewski dwór.

Potarła brodę.

— Hm, tak. Byłoby łatwiej, gdybym mogła chociaż porozmawiać z ową damą. — Prośba zawisa między nami, ale nie zastanawiałem się długo nad odpowiedzią.

— To niemożliwe. Mieszka zbyt daleko i tylko na moją prośbę przybędzie na bal. — Półprawda uleciała z moich ust, jakby stanowiła krystalicznie czysty fakt.

Widziałem, jak prędko w oczach Elizy zajaśniała ciekawość. Tradycja dynastii nie zmuszała do rychłego małżeństwa, ale w mojej sytuacji... Bez rodziców i rodu, byłem jedynym, który mógł podtrzymać władzę i przekazać dalej nazwisko Donellów. Rzecz jasna, nie każdy kwapił się, żeby zachęcać mnie do znalezienia wybranki. Znałem takich, którzy zerkali na mój tron z niemałym apetytem.

— W takim razie poradzimy sobie z tym, co mamy! — odparła zwinie Eliza, dygnęła i pomaszerowała do pomieszczenia, w którym od podłogi po strop piętrzyły się bele materiałów.

Nie pytałem Briony, jaką kreację pragnęła założyć. Chciałem mieć tę przyjemność i zaskoczyć ją czymś naprawdę wyjątkowym.

Eliza rozpoczęła pokaz. Ze sprawnością młodej panny co chwila wspinała się na przesuwaną drabinkę i prezentowała mi kolejne tkaniny.

— Wasza Najjaśniejsza Wysokość, proponuję ten purpurowy. Kupcy z Ealmere przywieźli go do nas z królestwa Oren. — Rozwinęła nieco rolkę. Tłoczony w roślinne wzory aksamit lśnił przed moimi oczami.

— Nie chciałbym emanować przyjaźnią z Orenami. Ta suknia powinna stać z dala od polityki królestw.

— Oczywiście. — Eliza ponownie wspięła się na drabinkę. Zeszła z niej z kolejną rolką opartą o biodro. — A ten? Obecnie niezwykle trudno o tak wyrazisty odcień szmaragdu.

Zastanowiłem się. Jedwab był znakomitej jakości i bezsprzecznie kojarzył się z lasem, który tak przenikał jestestwo Briony. Był piękny, ale jednak... zbyt oczywisty. Wiedziałem, że niejedna szlachcianka wystąpi na balu w zieleni. Rozejrzałem się.

— A tamten? — Wskazałem palcem w górny róg pomieszczenia, wprost na niewielką belę. — Czy wystarczy tej tkaniny na suknię?

Eliza spojrzała na mnie skonsternowana, po czym wspięła się we wskazane miejsce. Schodząc z drabinki, dmuchała na ciężki welur, by pozbyć się resztek kurzu.

— Wasza Najjaśniejsza Wysokość, proszę wybaczyć... — tłumaczyła, rozpościerając przede mną materiał, którym już wtedy byłem urzeczony. — To czerwona ochra, od dawna nieużywana. Pańska matka zamówiła belkę tego materiału lata temu, za mojej poprzedniczki. Podobno sama tkanina pochodzi zza morza... — Przerwała, widząc mój zachwyt. — Rozumiem, że wybór już padł?

— Tak, Elizo. Tak. Jest idealny. — Przeciągnąłem opuszkami palców po welurze, na którego powierzchni wybito tysiące malutkich listków. Mieniły się w promieniach słońca, które wpadało do wnętrza przez okno.

— Jeśli mogę coś dodać... — Zerknęła na mnie ostrożnie, a ja kiwnąłem głową, pozwalając na wyrażenie opinii. — To nieoczywista tkanina. Kolory mają wielkie znaczenie, królu. Ktokolwiek wystąpi w czerwonej ochrze, będzie jedyną taką osobą na balu, a to przyciągnie spojrzenia. Także te wścibskie.

Wiedziałem o tym i być może z uwagi na to, kim była Briony, powinienem wybrać przeciętniejszy szmaragd. Ale czerwona ochra była ognistą barwą jej włosów, które moja ukochana i tak musiała ukryć przed zacofanym dworem. Nie mogłem się powstrzymać.

31

— Szyj, Elizo. I proszę, stwórz pasujący do sukni czepiec.

Przyklasnęła z entuzjazmem.

— To akurat ostatni krzyk mody!

Krawcowa zapraszała mnie za każdym razem, gdy poczyniła postępy lub wprowadziła zmiany w projekcie. Obserwowałem, jak powstaje kreacja idealna, ale ekscytacja z procesu tworzenia miała być niczym wobec oniemiaenia, które poczułem, ujrzawszy Briony w skończonej sukni.

— Hej, księciuniu, coś ty taki zamyślony? — Głos wyrwał mnie z otępienia.

Od ponad pół godziny jechaliśmy konno, niespiesznym kłusem. Jesienne słońce zaczynało prażyć w plecy, ale zamiast utyskiwać z tego powodu, próbowałem cieszyć się ostatnimi promieniami przed nadejściem zimy.

— Nowy obmyśla plan ucieczki — wtrącił mężczyzna za mną.

— Mówi się „obmyśla” — poprawił go Maldus.

Wyłączyłem się w trakcie podróży właśnie z powodu tych bezsensownych rozmów. Mój świeżo poznany towarzysz był ewidentnym przywódcą drużyny, która wyglądała na naprędce skleconą grupkę. Jej członkowie nie dogadywali się ze sobą, przekomarzali, być może w ten sposób zabijali czas i stres. O ile to drugie jeszcze ich dotyczyło.

— Jesteśmy prawie na miejscu — oznajmił Maldus, gdy pomiędzy zakrętami zamajaczyła ferma. Kamienny murek ciągnął się, zwężając polną drogę, a kozy pasące się po naszej prawej uciekły na dźwięk końskich kopyt.

Zbliżaliśmy się do posiadłości Welkego, na którą składało się kilka murowanych budynków, drewniana stodoła i magazyn. Maldus zeskoczył z siodła jako pierwszy, od razu dobywając miecza, a ja wyciągnąłem z sakwy poprzecieraną chustę i owinąłem ją wokół

32

twarzy. Młody posługacz przemierzał ubłocone podwórze z koszem koziej wełny na ramionach, ale na nasz widok stanął jak wryty.

— I co się gapisz?! — ryknął Maldus. — Lepiej mów, gdzie jest Welke!

Zsiadłem z konia.

— Prędej! — ponaglił chłopca drugi mężczyzna, a ten niemal upuścił kosz. Musieliśmy wyglądać na niezłych zabijaków.

Wskazał na stodołę i od razu uciekł na tyły posiadłości. Liczyłem, że skończymy robotę szybciej, niż przybędzie pomoc, po którą pognał. Mimo to odruchowo upewniłem się, że sztylety na moich biodrach nadal leżą pewnie.

Zbliżyliśmy się do budynku, wokół którego rozrzucono słomę. Słyszałem zza pleców szcęk wyciąganej stali, gdy otwierałem drzwi i zerkąłem do środka. Poczułem swąd siana, kurzu i zwierząt.

— Ha, oto i on! — mruknął Maldus, wisząc nade mną. — No, księciuniu, kolej na ciebie. Wpadnij tam i zrób użytek z pięści. My będziemy osłaniać tyły i postaramy się, żeby nikt ci nie przeszkodził w wyrównywaniu rachunków.

Potaknąłem. Cóż mi innego zostało?

Zakasałem rękawy płaszcza i zrzuciłem kaptur, myśląc tylko o tym, by wyrwać się z fermy jak najszybciej. Mocniej pchnąłem wrota stodoły, a te otwarły się z hukiem odrywając rządcę od pracy. Odwrócił się z szokiem wymalowanym na twarzy.

— Welke? — rzuciłem.

— Owszem. A ty... — Przebyłem dzielącą nas odległość w kil-ku szybkich susach. Moja pięść dosięgnęła celu, zanim ten zdążył uskoczyć.

Mężczyzna chwycił się za twarz, a z rozkwaszonego nosa pociekła krew. Wybałuszył oczy.

33

— Co ty... Niech mnie, kto cię nasłał?! — zapytał, uchylając się przed następnym ciosem.

— Z pewnością nie każdemu wysyłasz wełnę pełną robactwa — wycedziłem.

Coraz bardziej cofał się ku ścianie, do której w końcu przywarł plecami.

— Robactwa?! — Znowu uniknął ciosu. — Moje owce są czyste, a towar cheszą cztery służki. Jedna po drugiej!

Zagryzałem zęby, czego nie mógł dostrzec spod wyleniającej chu-sty. Wreszcie chwyciłem go za poły ciężkiego kubraka i uniosłem, podciągając centymetr nad ziemię.

— To już nie pamiętasz, jak oszukałeś Folkego? — Łypałem na niego groźnie. — Widzisz, rządca gildii poniósł zbyt duże straty, by puścić ci to płazem.

— Folke? To jego sprawka?! — Krew spływała rządcy do ust. Splunął w bok. — A żeby go najgłębsza studnia w mieście pochłoneła! Mogłem się domyślić!

— Skończ chrzanić — syknąłem, mocniej przyciskając go do ściany.

— Żeby go klacz na rozdrożach źle powiodła... To mściwy człowiek, a że moja ferma coraz lepiej przędzie, to zaczął knuć. — Prychnął. — Jak zwykle chce mnie wyprzeć z interesu.

Coś mi tu śmierdziało. Przyłożyłem pięścią w brzuch Welkego, niezbyt mocno, ale na tyle dotkliwie, że zgiąłby się wpół, gdybym go nie podtrzymywał.

— Wyprzeć z interesu? Przecież prowadzicie dwa różne! Ty hodujesz owce, on handluje wełną. Nie kręć dłużej, bo nie skończy się na pobiciu — zagroziłem.

Cień strachu przemknął mu po twarzy.

— Moglibyśmy nawet dobić targu, to prawda, ale on nigdy niczego ode mnie nie zamówił. A tyle razy matka mu mówiła, żeby

34

schował te durne urazy do kieszeni i podjął ze mną współpracę. Mam najlepsze owce w okolicy! — zarzekał się.

Ponowiłem uścisk, napierając na szyję Welkego.

— Słuchaj, sprawa wygląda tak, że wysłałeś mu trefny towar.

— Trefne to ty masz informacje, ot co! — odgryzł się. — Folke to mój, aż żal mówić, rodzony brat. I kopie dołki pod fermą, odkąd ją mam! Zresztą, moje owce są jeszcze nieostrzyżone. Sam zerknij do zagródk.

Powiodłem oczami we wskazanym kierunku. W boksach tłoczyły się zwierzęta pokryte grubą warstwą wełny.

— I to ma być dowód? — fuknąłem, choć straciłem rezon. W mojej głowie huczały dwa słowa. „Zostaliśmy oszukani”.

— A tak, innych owiec nie mam!

Puściłem go, zanim przypomniałem sobie, że z pewnością obserwuje mnie Maldus. Całe szczęście Welke, bardziej ze strachu niż z bólu, osunął się na ziemię. Udałem, że biorę zamach i wymierzam mu kopniaka.

— Zrób to jeszcze raz, to po ciebie wrócimy! I porachujemy się inaczej! — krzyknąłem na tyle głośno, by usłyszano mnie na zewnątrz i wypadłem ze stodoły. Na zewnątrz mężczyźni czekali już w siodłach.

— Trochę ci to zajęło! — zawołał Maldus, podając mi lejce śnia-dej kłaczy. Wprawnie zaczepiłem but o strzemię i wskoczyłem na jej grzbiet.

— Dobra robota wymaga czasu — odparłem, popędzając konia. Wialiśmy galopem. Zwolniliśmy dopiero kiedy mury Ealmere i podmiejska stajnia wyłoniły się zza zakrętu.

Po drodze odwiązałem chustę. To był ciepły dzień, pamiętam jak dziś. Taki, w którym człowiek zapomina, jak blisko do nadciągającej zimy.

— Maldus — zagadnąłem, gdy odstawialiśmy konie w stajni. — Ten Welke wspominał, że Folke to jego brat.

— No i? — mruknął.

— Sądzę, że Folke nas oszukał.

— No i?

Przetarłem twarz dłońmi.

— Naprawdę cię to nie interesuje? Może właśnie obiliśmy niewinnego człowieka. — Wyrzuciłem ramiona w górę, ale Maldus wcale nie wyglądał na przejętego. Spojrzał na mnie przeciągle.

— Młody, tak naprawdę im mniej wiem, tym lepiej dla mnie. Do-
staję rozkaz, robię co trzeba, odbieram wikt. Modliszka może upra-
wiać swoje szemrane interesy, ale mnie obchodzi tylko to, że dobrze
płaci.

Wyszliśmy na zewnątrz jako pierwsi, ale zmusiłem go, by przy-
stanął jeszcze na moment, zastępując mu drogę.

— Nie wierzę, że cała reszta nie ma dla ciebie znaczenia. Jego
owce miały mnóstwo wełny!

Pozostali mężczyźni opuszczali już stajnie i rozchodzili się w róż-
ne strony, zadowoleni z tego, jak niewielkim nakładem pracy uporali się
ze sprawą Welkego. Maldus nie zwracał na nich uwagi.

— Ja za tę wełnę chleba nie kupię, a dzięki zleceniom Modliszki
mam co włożyć do ust i nie przymieram z nędzy. W mieście takim jak
Ealmere łatwo zatonać i już nigdy nie wypłynąć na powierzch-nię,
łapiesz?

Mlasnąłem z niesmakiem, ale pokiwałem głową.

— To tyle na dziś. Wracaj do swojej izby i poproś Vetę, to da ci coś
do żarcia. Wiesz już, że to niemowa, prawda? Biedna dziew-ka. —
Machnął do mnie ręką na pożegnanie i oddalił się szybciej, niż było
to konieczne.

Wsadziłem dłonie do kieszeni. Było dopiero południe, nie czułem się głodny i wcale nie miałem ochoty spędzić reszty dnia na twardej pryczy. Znów zaciągnąłem kaptur na twarz.

36

Słowa Welkego nie dawały mi spokoju. Nie potrafiłem puścić płazem niesprawiedliwości, co było odrobinę idiotyczne, biorąc pod uwagę, że pełniłem funkcję zbira do wynajęcia. Pachnąc hipokryzją, wmaszerowałem przez bramy miasta, szybko okazałem glejt i skierowałem się ku sklepowi Folkego. Myślałem o owcach, Welkem i tej dziwacznej pokusie, która zmuszała mnie do spojrzenia w twarz starego mistrza gildii. Wiedziałem, że mnie nie rozpozna, więc tym się nie martwiłem.

Kłamał czy nie, faktycznie szła zima i na pewno miał zamówienia, które napłynęły do niego z samego dworu.

Czułem, że idąc do niego, znajdę się o krok bliżej dotarcia na zamek.

Jakże się myliłem...

Rozdział 4

Cokolwiek zostało zbudowane w północnej części miasta, wzniesiono tam nie bez powodu. Wiem, bo swego czasu sam pieczętowałem dokumenty ze zgodą na postawienie w tych dzielnicach

nowych sklepów, szlacheckich rezydencji czy karczm w niczym nieprzypominających spelun na południu. Północna część Eal-mere była szczególnie istotna, po pierwsze dlatego, że to właśnie ona była najlepiej widoczna od strony rzeki i reprezentacyjnego portu, w którym cumowali kupcy i znamienici goście. Po drugie dlatego, że samo wzgórze zamkowe znajdowało się już tylko rzut kością stamtąd. Północ miasta przecinał także królewski trakt, od którego — chociaż coraz mocniej nabierałem przekonania, że nikt mnie nie rozpozna — trzymałem się z daleka.

Na razie.

Było gwarно i ludno, co tyleż mnie cieszyło, ile napawało niepokojem. Płaszcz zakrywał przytroczoną broń i maskował posturę, a kaptur ukrywał twarz w cieniu, ale przecież czarna skóra, z której wykonano odzienie, nie była pierwszym wyborem typowego przechodnia w tej dzielnicy. Brakowało mi atłasu i koronki, by wtopić się w tłum, dlatego brnąłem przed siebie, ale trzymałem się skraju ulicy.

38

Co mogło się stać? Prawo do-niedawna-mojego królestwa zabraniało pojmania człowieka za sam wygląd, a segregowanie ludzi według stanu urodzenia nie było oficjalnym zwyczajem. Krótко

mówiąc: miałem prawo tu być, nawet jeśli ktoś o mojej prezencji kłuł w oczy przeciętnego szlachcica.

Dwuskrzydłowe drzwi sklepu Folkego jak zwykle stały otworem — choć właściwie określenie sklep mogłoby postawić szanownego mistrza gildii w zbyt zwyczajnym świetle, bowiem Folke dysponował całą kamienicą. Potężne wrota zapraszały na dziedziniec, gdzie pod łukowato sklepionymi podcieniami sprzedawano niemal wszystko, od świeżo ściętej wełny — owczej, koziej i jakiej dusza zapagnie — przez szpule najlepszej jakości, wyrobione wkłady pierzyn i poduch, gotowe podbicia zimowych okryć we wszystkich rozmiarach, po narzędzia do tkania, dziergania i szycia. Klienci przelewali się przez próg w obie strony, ale wstęp do pokoi mieli tylko wybrani goście.

W myśl zasady „najciemniej tam, gdzie ogień płonie” zrzuciłem kaptur i jakby nigdy nic, jakby chodziło mi jedynie o kupno porządnego wsadu, wemknąłem się na dziedziniec, by zaraz skrócić w lewo, pod najbliższy krużganek. Sprzedawcy zachęcali do sypania groszem, a ludzie przeciskali się obok stołów wpatrzeni w towar i co rusz trącali mnie ramionami albo niechący ciągnęli za sakwę. Tylko kilka razy ktoś rzucił w moim kierunku nieuprzejme spojrzenie, bardziej za to, jak mozolnie szedłem, niż jak wyglądałem.

I słusznie.

Instynkt prowadził mnie podcieniem, aż w końcu przystanąłem przed jednym z kramów, na którym piętrzyły się kożuszki, jak sądziłem, idealne do obszycia rękawiczek. Chwyciłem za jeden i przyjrzałem mu się dokładnie, choć tak naprawdę zezowałem w lewo, gdzie dostrzegałem już wytworną sylwetkę właściciela tego przybytku.

— Ej, ej, nie tak prędko! — Sprzedawca wyrwał mi z dłoni brązowy skrawek wełny. Przyjrzał mi się krytycznie, ale ponieważ nie

zrobiłem nic, co przekroczyłoby normy, powiedział tylko: — To kożuszek przeznaczony dla panien!

Cmoknąłem nonszalancko, udając wybrednego klienta.

— Całe szczęście, że poszukuję czegoś, co chwyciłoby za serce moją wybrankę. — Och, jakże gorzkie były te słowa.

Sprzedawca zmarszczył brwi. Wiedziałem, co wzbudziło jego wątpliwości. Nawet gdybym mówił prawdę, nie wyglądałem na osobę, którą byłoby stać na elegancki kożuszek.

Miał rację — przynajmniej w tamtej chwili.

— Darujmy to sobie — wymamrotał w końcu, jednocześnie odkładając towar na kupkę, z której go pochwyciłem.

Jeszcze raz zerknąłem w lewo. Folke nadal stał w tym samym miejscu, a ten jeden moment zawahania, podczas którego zastanawiałem się, jak rozegrać kolejny ruch, miał mnie naprawdę wiele kosztować. Gdybym tylko szybciej podjął decyzję, nie doszłoby do wszystkiego, co stało się później.

— No dalej! Klienci czekają! — W tym krótkim czasie, gdy stałem jak słup soli, sprzedawca zdążył stracić cierpliwość i uniósł się na tyle głośno, że oczy mistrza gildii powędrowały wprost na mnie.

Odsunąłem się od stołu z kożuszkami, odruchowo gotowy do ucieczki, która i tak byłaby niemożliwa przez otaczający mnie tłum.

— Czy mamy tu jakiś problem? — Folke zwrócił się do swojego pracownika.

— Ten jegomość insynuuje, że potrzebuje kożuszka. A ja podejrzewam próbę kradzieży.

Czułem, jak Folke zmierzył mnie wzrokiem. Oczywiście jedyne, co zobaczył, to zubożałego łotrzyka, na tyle odważnego, by zapuścić się do północnej dzielnicy. Splótł ramiona za plecami, podkreślając w ten sposób swoją smukłą sylwetkę. Guziki na bordowym żupanie zaślnęły złotym blaskiem, gdy wyprostował się dumnie.

— Czy to prawda? — zapytał.

40

— Skąd! — bąknąłem. Może i nogi same zawlekły mnie do sklepu Folkego, bo chyba nadal czuły, że należą do króla, który ma prawo wymierzać sprawiedliwość, ale język zaczął mieć już nowego właściciela.

— Na granicy północnej i południowej dzielnicy działa powoła-na przeze mnie instytucja — oznajmił mistrz gildii. — Nazwijmy ją przytułkiem. Codziennie rano zapewnia ciepłą strawę i nie odmawia jej nikomu. Zaręczam, że jegomość nie zostanie zapytany o... uprawiany fach.

Uniosłem głowę na tę insynuację, po której mimowolnie odczułem wstyd. Ciepły głos rządcy gildii przypomniiał mi, jak nisko upadłem. Z irytacją przejechałem językiem po zębach, przestąpiłem z nogi na nogę. Niemożliwe, bym wyglądał na aż tak biednego, a przez Folkego przemawiała zwykła wyższość. Skrzyżowałem ramiona na piersi.

— Wełna ma się dobrze, prawda, suh Folke? — rzuciłem, choć wiedziałem, jak mężczyzna zerka ponad moim ramieniem w poszukiwaniu kogoś, kto mógłby go wybawić od tej jakże hańbiącej rozmowy.

— Owszem — odparł.

— Świetnie się składa. To podobnie jak owce pana brata, Welkego. Też mają się *dobrze*.

— Słucham? — W jednej chwili jego twarz stężała i zbladła, a ja poczułem mały przypływ triumfu.

— A tak tylko wspominam, bo miałem z nim ostatnio przyjemność. Zmartwił się na wieść, że jego bratanica zemdląła na widok robactwa wijącego się w wełnie. Ubolewa nad zaistniałą sytuacją, suh Folke.

Ze złości wciągnął powietrze tak gwałtownie, że aż rozszerzyły mu się nozdrza.

— Kto cię przysłał? — Zbliżył się do mnie. — I jakim prawem... — Mówił coraz głośniej, ale widząc ilość klientów wokół, zniżył głos do nienawistnego szeptu. — Jakim prawem rozmawiasz tak ze mną w moim domu?! Wynocha do doków!

41

Z powrotem zarzuciłem kaptur i wpakowałem dłonie do kieszeni płaszcza.

— Chciałbym, żebyśmy się dobrze zrozumieli, suh Folke. Nie warto oszukiwać.

— I mówisz to ty, kundlu na posyłki?

Uśmiechnąłem się zimno i bardzo delikatnie odsłoniłem jedną połę płaszcza. Oczom Folkego ukazał się zgrabny sztylet, wiszący na skórzanej upręży tuż przy moim udzie.

— Mówię to ja, w imieniu swoim i kilku innych, którzy wtedy ze mną byli — odparłem cicho, ale wyraźnie. — Radziłbym odświeżyć rodzinne relacje, zaprzyjaźnić się z bratem, korzystać z dobrej wełny, skoro jest w pobliżu.

Mężczyzna znieruchomiał, ale wciąż dyszał rozgorączkowany. Pławiłem się w niewielkiej przewadze, jaką nad nim zdobyłem.